

Leszek Lachowiecki: Witam państwa na konferencji zorganizowanej przez Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Warszawa w Europie wspólnie z Fundacją im. Róży Luksemburg. Temat dzisiejszej konferencji brzmi nieco swawolnie, a na pewno gastronomicznie: lewica w mizerii. Bo też najpoważniejszym problemem lewicy polskiej było i jest samozjadanie się, swoista autokonsumpcja na wszystkich poziomach realnej egzystencji: aksjologicznej, programowej, organizacyjnej i personalnej. Z programów polskiej socjaldemokracji zniknęły konstytutywne dla formacji pojęcia socjalizmu, a nawet socjaldemokracji, liczni i - bywało - naprawdę głodni działacze odpadali od głównej stołu i podjadali na boku, a na rynku pojawiały się lewicowopodobne ersatzes w ładnych opakowaniach; nieszczęście polegało na tym, część z tych produktów była dziełem „pragmatycznej lewicy”. Nic więc dziwnego, że do rzekomo zarezerwowanego stołu lewicowego dopchało się w zorganizowany sposób i PiS i PO, a obecnie większość krzeseł zajął Janusz Palikot. A ponieważ biesiada trwa - warto zapytać o sposób, w jaki SLD utraciło miejsca na bankiecie władzy.

Rafał Chwedoruk: No jeśli klęska to klęska. Zostałem posadzony pod Edwardem Tylorem. To nie dość, że to był NDek, to jeszcze liberał ekonomiczny. Chyba podpadłem prowadzącemu. Cieszy mnie to, że nie

zaczynamy w ponurych nastrojach, bo ja też nie chciałem ponuro mówić, ale powiedzieć o lewicy, podwójnym życiu SLD, ilości cukru w cukrze i tego typu zagadnieniach. A co do owego TKM tytułowego: mało kto pamięta, że tego skrót użył jeden z najbardziej lewicowych polityków - Jarosław Kaczyński w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, gdy władzę objęła Akcja Wyborcza „Solidarność”. Kaczyński bardzo szybko zrezygnował z czynnej aktywności w tej formacji, określając ją mianem TKM, wybaczcie państwo, że nie przetłumaczę tego środkowego słowa. Trudno przetłumaczyć przecinek na język polski. A mówiąc inaczej Kaczyński stwierdził, że AWS z formacji ideowej, solidarnościowej i prawicowej, niechybnie staje się zupełnie bezideową partią władzy, która bardzo szybko zaprzeczy swoim ideałom. W tej sytuacji, tak jak w kilku innych się nie pomylił. Zatem chciałem państwu powiedzieć, że moim zdaniem problem SLD nie zaczął się w roku dwa tysiące jedenaście, ani w dwa tysiące dziewiątym, ani nawet w dwudziestym pierwszym wieku. Kiedy powstawały w Polsce pierwsze partie polityczne po roku osiemdziesiątym dziewiątym była próba rejestracji partii o nazwie Polska Partia Polityczna. W sam raz dla określenia polityki SLD w niektórych okresach, bo to nie jest tak, że zawsze; problem SLD polegał i nie skończył się na ucieczce od lewicowości, a pod drugie na przyjęciu obcej tożsamości. Przechodząc do tego pierwszego,

pamiętacie państwo to słynne sformułowanie o samoograniczającej się rewolucji, jak to było w Solidarności, w SLD można opisać jako samoograniczającą się lewicę. Zaczęło się to w roku osiemdziesiątym dziewiątym. W swojej bardzo dobrej książce o socjaldemokracji w XXI wieku profesor Wiatr przyznał szczerze, że słaba ideologia była raczej na cenzurowanym, w początkach SDRP i SLD. Można powiedzieć, że była z góry podejrzana. Sojusz Lewicy Demokratycznej starał się zostać bardziej ruchem, a nie partią na początku. Pamiętacie państwo pewnie lepiej ode mnie bóle SLD jako federacji czy konfederacji, gdy z różnych organizacji przeistacza się w partię. Być formacją otwartą - ergo praktyczną i pragmatyczną, a w pełni ten ideał uosobił Aleksander Kwaśniewski w roku dwutysięcznym piątym, w toku swoich obu kadencji prezydenckich. Celem tego było zdobycie przez SLD legitymizacji, oczywiście po pierwsze społecznej, czy wykraczającej pozabierny elektorat tej partii, a po drugie legitymizacji w oczach politycznych oponentów ruchu Solidarnościowego, z których absolutna większość przyjęła różne formy prawicowej tożsamości politycznej. I ta ucieczka od lewicowości, była niemal permanentna. Partia operowała zrazu pojęciem demokratycznego socjalizmu, kiedy próbowała zakorzenić swoją tożsamość po rozwiązaniu PZPR, korzystając w głównym stopniu z międzynarodówki socjalistycznej. Trochę tam też zaczęło pojawiać się

dziedzictwa PPS. Pierwsze lata władzy tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem zapewne z dzisiejszej perspektywy to czasy pragmatyzmu i stabilizacji. Czy dopiero z chwilą zdobycia władzy w roku dwutysięcznym pierwszym czy może z chwilą reelekcji Aleksandra Kwaśniewskiego, czy może już wcześniej były tego zapowiedzi, ale to symboliczne wystąpienie Marka Belki, które podobno kosztowało potem SLD brak samodzielnej większości w sejmie, czyli próba pogodzenia liberalizmu z pozostałościami lewicowego myślenia, upadła chyba wraz z odejściem Millera, no a czasy LiDu dobrze państwu znane, w zasadzie nie powinny być bliżej charakteryzowane, próba rozmycia i pogłębienia eklektyzmu własnej tożsamości, zaś w ostatnich latach mieliśmy w SLD kult młodości, powiedziałbym. Przerost formy nad treścią. W istocie w bardzo umiarkowany sposób, ale kontynuujący ucieczkę od lewicowości, w efekcie SLD jak miał być opozycją, to miał być opozycją konstruktywną, a jak miał być partią rządzącą, to taką, która przypadkiem nic nie zmieni. I stąd moje wywody o anoreksji i bulimii. SLD cierpiał na anoreksję, ponieważ chciał swoją lewicowość odchudzić i aż do bólu się odchudził i ja nawet żałuję, że nie popadł w bulimię. Bo może chociaż by się raz najadł, nawet jeśli przejściowo by mu to w kampanii wyszło bokiem, to może by coś tam zostało w krwioobiegu. Dla mnie miarą takiego absurdu, dlatego mówiłem o ilości

cukru w cukrze, był fakt, że w SLD powstał nurt socjalistyczny. Jak była kadencja dziewięćdziesiąt trzy do dziewięćdziesiąt siedem to gdzieś tam w SLD powstała grupa obrony interesów pracowniczych, co mnie bardzo bawiło, bo miałem wrażenie, że taka partia powinna się tym właśnie zajmować, powinna mieć posłów z OPZZ-etu, którzy znają się na tej problematyce. No i później nurt socjalistyczny w SLD. Czekam z niecierpliwością na nurt liberalny w Platformie, ruch konserwatywny w PSLu. I to pokazywało chyba skalę problemu. Moim zdaniem praktyczną konsekwencją i tego w SLD do dzisiaj i może za to przede wszystkim zapłacił Sojusz w ostatnich wyborach, był brak umiejętności stawiania diagnozy tego, co się w świecie, w Europie i w Polsce. Kiedyś, kiedy mieliśmy do czynienia z pierwszą fazą kryzysu, to jeśli chciałem z polskiej prasy dowiedzieć się tego, co się naprawdę dzieje, czym to wszystko pachnie, to musiałem kupować „Trybunę” i „Gazetę Polską”. To były jedyne gazety, gdzie można było znaleźć strzępy informacji, oczywiście mówię o wysokonakładowych gazetach, a nie o niszowych. Trybuny już dawno nie ma, więc żeby się dowiedzieć o co chodzi z Czempieńskim to czekam z niecierpliwością na najnowsze wydanie „Gazety Polskiej” i usłyszę, jaka jest diagnoza tej sytuacji przez lewicę, a myślę że zwłaszcza dla członków czy sympatyków tej partii, których mimo wszystko wciąż nie brakuje w kraju, to powinien być absolutny

elementarz. A tego nie wiemy. Druga moja teza dotyczy podwójnego życia Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Czego zarzewiem było przyjęcie obcej tożsamości, to znaczy SLD przyjmowało właśnie ten tryb diagnozy powstający po prawej stronie mocy i tamtejsze projekty i tak można liczyć od początku. Najpierw SLD zaakceptowało plan Balcerowicza. Bez głosów SLD nie byłoby możliwości wcielenia tego w życie. I to jest dla mnie największym szokiem, że SLD się jeszcze tym chwali. Zero refleksji. Mieliśmy także casus NATO, prawda? SLD zaczynało od, powiedziałbym, trzeźwego pragmatyzmu w tej sprawie. Dziś wejście do NATO jest niemal na czele zasług historycznych SLD. Ja rozumiem, że są pewne uwarunkowania geopolityczne, że trzeba być pragmatycznym. No ale w tym przypadku to było przyjęcie diagnozy prawicy. SLD nie miał już tej sytuacji zimnej wojny, świat był coraz bardziej zróżnicowany, dzielił się na Związek Radziecki i jego sojuszników i świat zachodni. Generalnie uważam, że pewnie pani Agnieszka powie o programie. Ja uważam, że ostatni program wyborczy SLD był chyba najlepszy w dziejach tej partii i chyba najlepszy w ostatnich wyborach. Naprawdę treściwy, obszerny, wielowątkowy, skłaniający także do refleksji; ale wiedziony taką zawodową perfidią postanowiłem znaleźć coś, do czego można się przyczepić. No i znalazłem OFE. To jest jedyna partia na świecie, której się podoba OFE. Neoliberalny system, stworzony przez generała Pinocheta, pod jego egidą chicagowskiej szkoły,

system który wprowadzono w Chile i który się tam po ludzku nie sprawdził. To jest jedyny system tego typu, który od razu pokazał efekty. Jeden procent budżetu Chile jest przeznaczony na ofiary tamtejszego OFE, to znaczy trzeba dopłacać do emerytur, ponieważ większość emerytur nie osiąga standardu minimalnego. Coby nie myśleć o rządach Platformy Obywatelskiej, to przynajmniej dyskusja prowadzona w zeszłym roku wykazała ogromną hipokryzję. I co SLD miało do powiedzenia? No my też chcieliśmy wprowadzić i pierwsi zaczęliśmy dyskusję na ten temat! I nawet dzisiaj, kiedy towarzysze z socjaldemokracji czeskiej mówią, że kiedy dojdą do władzy to natychmiast to zlikwidują, to my się dalej tym chwalamy. Niepojęte. Tak samo było z Unią. Oczywiście w naszej części Europy podejście do Unii było bardziej warunkowane czynnikiem kulturowym, niż ekonomicznym, ale w SLD w ogóle brakowało refleksji na temat skutków społecznych, gospodarczych, a także suwerenności. Znaczna część elektoratu SLD jest przywiązana do takiego sposobu myślenia, choćby ta część, która była związana z aparatem władzy przed rokiem '89. To były poważne dylematy i wyzwania. SLD, do dziś to widać, uznał że likwidacja państwa narodowego - nie mówię dosłownie, ale o ograniczeniu daleko idących kompetencji - będzie na pewno korzystna dla obywateli Polski, dla elektoratu lewicy. A zdaje się, że ten kryzys pokazuje, że nie jest to takie oczywiste, skoro nawet ortodoksi neoliberalni chcą dziś

nacjonalizować banki. I dalej to widać w SLD w kwestii Euro. Na jakiej podstawie SLD zakłada, że jego wprowadzenia w Polsce będzie korzystne? Myślę, że to jest schorzenie powszechne jednak, epidemia, żeby wejść do Euro trzeba po prostu za to zapłacić, nie ma nic za darmo. I płacić za to będą na przykład pracownicy budżetu, na przykład urzędnicy państwowi, na przykład nauczyciele czy mieszkańcy słabszych ekonomicznie miast. Ale my hura, wejdziemy do strefy Euro. Bo widzimy się już w roli równego partnera Francji i Niemiec. W tym wypadku nawet PiS momentami trzeźwieje, w materii mocarstwowości Polski na świecie. I tak można wymieniać wiele innych szczegółów: podatek liniowy, który na szczęście oficjalnie nie został przyjęty. Aleksander Kwaśniewski, chwala za to panu prezydentowi, zawetował niegdyś fanaberie Leszka Balcerowicza, ale jako pierwszy argument podał to, że spadną wpływy do budżetu. Nie że ten podatek jest na przykład niesprawiedliwy. Czyli jakby dostał wyliczenia, w których nie spadałyby te wpływy to rozumiem że nie byłoby powodu, żeby wetować. I proszę państwa, bardzo znamienne jest to, że przyjmując nie swoją tożsamość SLD przyjmował także sposób analizowania środowisk i metodologię środowisk liberalnych. Niespełnioną miłością Sojuszu Lewicy Demokratycznej była taka ciągłość: ruch obywatelski, akcja demokratyczna, czyli kompletnie eklektyczna ideowo formacja będąca zapowiedzią Unii Demokratycznej: Unia Demokratyczna,

Unia Wolności, teraz Platforma Obywatelska. Już słyszeliśmy zapowiedzi, że koniecznie trzeba zawrzeć koalicję z Platformą Obywatelską. Kiedy SLD przegrało wybory, widzimy to także na podstawie roku '97, pierwsze co Józef Oleksy miał publicznie do powiedzenia to to, że jest jednak jeszcze szansa i może Unia Wolności nie zawierałaby koalicji z AWSem tylko z SLD, co było kompletnie życzeniowym i nierealistycznym myśleniem. Zastanawiało mnie zawsze, dlaczego SLD, rezygnował z wyraźnego dzielenia świata, ostrej analizy, szukania przeciwnika politycznego, skoro w znacznej mierze elektorat lewicy był sceptyczny wobec transformacji ustrojowej. Naiwna wiara w to, że partia SLD może stać się centralną partią mieszczańską, prawdopodobnie za tym się kryła. Warto też zwrócić uwagę na to, że SLD bardzo łatwo przejęło diagnozę polskiej sytuacji stawianą przez Adama Michnika, w konsekwencji przez część polityków socjaldemokratycznych na zachodzie od początku polskiej transformacji. To znaczy diagnozę dychotomii polskiej polityki. Że polskie życie publiczne dzieli się na anachroniczną narodowo-katolicką prawicę oraz na całą resztę. Takie przeniesienie schematu z lat 20. Albo jesteś NDekiem, albo jesteś nie-NDekiem. Akurat SLD był pierwszą ofiarą takiej dychotomii, gdy ona powstała. I to się w końcu stało w XXI wieku. I to mnie szczególnie raziło, to pozbawiona godności postawa - uznanie przez SLD niczym chłop pańszczyźniany, że ta

liberalna opinia wokół „Gazety Wyborczej” to jest taki dobry, ludzki pan. Przecież mógł nas wykomunizować, mógł nam odebrać prawa wyborcze, nie zrobił tego, to należy paść mu do stóp i dziękować. Nie szkodzi, że napisano, że SLD wolno mniej. Nie szkodzi że popierał wszystkie abstrakcje dekomunizacyjne i lustracyjne, ale to taki ludzki, dobry pan, który w każdej kampanii bez wyjątku kopał Sojusz Lewicy Demokratycznej do bólu. A to co się działo w ostatniej kampanii wyborczej: Jarosław Kaczyński to jest chyba ulubieńcem liberalnym mediów, po tym co uczyniono z Sojuszem. Podwójne życie SLD polegało na tym, że partia ta przedstawiała się jako zupełnie inne ugrupowanie wyborcom, a zupełnie jako inne elitom. Puszczala oko w stronę liberalnych mediów. Mówiąc w tym czasie wyborcom, że ludzie nie będą umierać z głodu, a Balcerowicz musi odejść. Odszedł do NBP. Czyli na jeszcze bardziej nobliwą funkcję, niż miał w Unii Wolności. Kończąc powiedziałbym, że SLD zbiera zasłużone cięgi. Otóż główny nurt polskiej polityki urządza teraz wernisaż ku czci samego siebie. Jaka nasza transformacja była wspaniała: budowaliśmy demokrację, weszliśmy do NATO, jesteśmy w Unii, kryzys nas ominął i mamy wspaniałe społeczeństwo obywatelskie. No i generalnie jest świetnie. Całe marzenie SLD polegało na tym, żeby być bohaterem tego wernisażu. Zobaczcie: tu jest redaktor Adam Michnik, tu jest postać profesora - świętej pamięci - Geremka, a tu jesteśmy my. Problem Sojuszu

polega na tym, że w ogóle go na ten wernisaż nie zaproszono i ta feta mówi o tym, że obalono w Polsce komunizm, a nie o tym, że PZPR i SLD w tym wszystkim uczestniczyły. I czasem mam wrażenie, że SLD to jest pociąg w dobie prywatyzacji kolei, to znaczy już sprywatyzowano dworce, prywatyzuje się tory, po których pociąg jedzie, za chwilę sprywatyzuje się linie przesyłowe i za chwilę będzie się prywatyzowało pociąg. No ale kierujący tym pociągiem są dalej z siebie zadowoleni i będą jechać do końca wierząc, że ktoś kiedyś zaprosi ich na jakiś wernisaż i usiądą w siódmym rzędzie za piątym względem ważności redaktorem „Gazety Wyborczej”. Dziękuję bardzo.

prof. Mirosław Karwat: To nie będzie bolało, bo co miało boleć to już zabolalo. Z pozoru będę mówił abstrakcyjnie, to zaznaczam dla ostrzeżenia, ale w ten sposób staram się stworzyć takie prawidłowości, które tłumaczą, jak to się dzieje, że nawet wtedy, gdy człowiek ma dobrą wolę, pozostaje ideowy, a więc nie mówię tu o jakimś renegactwie, o takim typowym likwidatorstwie, że nawet wtedy, gdy kieruje się bardzo specyficzną, że tak powiem ideowością, wkracza się na ten grząski, śliski teren pragmatyzmu wręcz machiavellizmu, no i osiągając nawet etapowe sukcesy, czy jakieś takie dygresyjne zwycięstwa, w gruncie rzeczy gubi się z pola widzenia drogę, cel ostateczny; zaczynamy być zagubieni, a fakty są właśnie takie, że tożsamość zostaje zakwestionowana,

a odzyskać ją o tyle trudno, że po drodze zgubiliśmy kryteria. To tak jak dziecko, które dostało dużo bilonu, żeby dojść do sklepu, tylko kieszeń była dziurawa i wszystko po drodze powypadało. To właśnie tak, jak z tym gubieniem tożsamości. Chcę jednak zacząć od takiego głosu umiaru. Kiedy byłem młodszy, to wydawało mi się, zresztą każdy chyba z nas taki etap przechodził, że najważniejsza jest słuszność, wierność zasadom, w sensie moralnego nastawienia, konsekwencja w działaniu, która miała następować w wykonywanym zadaniu. Na pewnym etapie każdemu z nas wydaje się, że to wystarczy. Oczywiście każdy z nas przeżył dużo różnych błędów. Że droga do celu zawsze wymaga różnych łamańców taktycznych, niekiedy bardzo dziwnych, paradoksalnych strategii i przepoczwarzeń. A to jest w dodatku uroda polityki, a polityka lewicy nie jest tutaj wyjątkiem. Więc kiedy będę mówił o tym, jak niebezpieczny i trudny jest ten pragmatyzm, to niech mnie ktoś porówna do idealisty, jakiegoś młodzieńczego romantyka. bo chyba nikt z nas tak nie mówił, że da się uniknąć wszelkich możliwych odstępstw, ustępstw, nie wiadomo na jak długo. Nie, tego nie da się uniknąć. Natomiast my rozmawiamy o czym innym. Nie o tym, czy w ogóle można zachować cnotę, czy można ją odzyskać, cnota ma to do siebie, że raczej jak się ją utraci to nie da się niczego odbudować. Nie o tym. Mówimy o tym, kiedy zostaje przekroczona bariera kumulacji tych ustępstw, kiedy one grożą takim ruchem, powiedziałbym. że

nieodwracalnym. Co innego skoczyć sobie na bok, ale wrócić i w dodatku niektórzy sądzą, że bez uszczerbku. Co innego natomiast tak się zapuścić w jakieś wyprawy uboczne, żeby zobaczyć nagle, że idziemy zupełnie inną drogą. No to jest trochę tak, jak ze skokiem w bok, w małżeństwie. Większość tych skoków w bok okazuje się wyprawą bezpowrotną. Nie o to chodzi, że zawsze z tego jest romans, ale nie skleisz rozbitego jajka. No jak to jest z tym pragmatyzmem? Zacznijmy od pragmatyzmu. Od razu trzeba zaznaczyć, że on ma niejednakowe oblicze. Funkcjonują takie stereotypy pragmatyzmu, które redukują pragmatyzm polityków zwłaszcza, czy menadżerów do jednego wymiaru. Na przykład zakłada się, że pragmatykiem jest ktoś, kto bernsteinowskie idee rozumie bardzo dosłownie, Bernsteinowi akurat zupełnie o co innego chodziło, ale wszyscy dziś powtarzają, że cel niczym, ruch wszystkim. Czyli cel ostateczny, jakieś tam ideały, wizje, projekty ustrojowe, zamiary przekształcenie świata - to wszystko jest piękne, ale wydaje mi się kompletnie nierealistyczne, po drugie jałowe, po trzecie praktycznie rozumując to jest strata czasu. Natomiast trzeba zrobić to, co się da. Tutaj bardzo rzadko ci, którzy wyznają taki pogląd zatrzymują się właśnie przy tym ostatnim członie. Co to znaczy: ile się da? Ile się da, to może zależeć od nas samych, na przykład co z tego, czy my wkładamy powiedzmy, wysiłek czy realistycznie oceniamy sytuację, czy

wychylamy się tam, gdzie mamy szansę, ustępujemy tam, gdzie szkoda tracić energię, ale także często popełniamy błędy. To może na przykład oznaczać, że wycofujemy się z góry tam, gdzie możemy się bić, albo że rozdajemy prezenty i ukłony niewiadomo czemu, była o tym mowa przed chwilą, bez wzajemności. Ale jest drugi sens formuły „ile się da”. „Ile się da” to znaczy wtedy, na ile pozwolą nam sojusznicy albo przeciwnicy. No tu się kłania popularne piłkarskie powiedzenie: „Tak się gra, jak pozwala przeciwnik”. I właśnie niektórzy politycy biorą to sobie strasznie do serca. Oni grają dokładnie tak. To znaczy dokładnie w takim zakresie, z takim rozmachem, z takim impetem, na jaki pozwala im przeciwnik i nawet niekoniecznie w sposób represyjny, czy w sposób jakiś relacji. Wystarczy jakieś zmarszczenie brwi, jakiś artykuł ostrzegawczy w miarodajnej gazecie i - wycofujemy się. Nie ruszać tego, bo będzie awantura. I to jest właśnie horyzont pragmatyzmu; trzeba wydumać kwalifikacje takiego bardzo prymitywnego pragmatyzmu. Bo z pozoru, tak sobie to wymyśliłem, to jest taka apologia skuteczności. Podejmować się tylko zadań wykonalnych, tylko na miarę posiadanych zasobów, pozyskiwanego poparcia i pomijając pułapkę myślenia „ile się da”, mamy pewną zasadzkę. Nie myśli się także o czymś innym, mianowicie o rzeczywistości. I, że to, czym dysponujemy, zależy przede wszystkim od nas samych. Najlepiej będzie, myślę, wytłumaczyć to nie wprost. Większość z nas zna to pojęcie Roberta

Mertona samospełniającej się przepowiedni. W skrócie przypominając to ta koncepcja mówi, że ludzie którzy są mocno zasugerowani przeświadczeniem o nieuniknioności czegoś zwłaszcza, czasem nawet tylko pobożnymi życzeniami uzbrojeni, czyli nie licząc się z rzeczywistością, przez to, że zasugerowali się jakimś przekonaniem czy dążeniem, rzeczywiście sprawiają, że ono się urzeczywistnia. Paradoksalnie tak jest, że ludzie, którzy chcą uniknąć niebezpieczeństwa jeszcze bardziej pchają się w kłopoty. Otóż coś takiego występuje w pragmatyzmie, przy czym to działa w obie strony. Otóż rzeczywiście, jeśli dokonujemy takiej analizy, która jest na pograniczu diagnozy zobiektywizowanej, tych lęków, zahamowań, poczucia winy w przeszłości, dziwna mieszanka uczuć tutaj wchodzi w grę, to zaczynamy chronić nasze zadania, zasoby na miarę tego co wypada, co będzie dobrze przyjęte, co kosztowałoby nas aprobatę kogoś, na kim nam zależy, no i popełniamy zupełnie amatorski błąd, jak dyplomata zawodowy, który zachowuje się jak dyletant. Dyplomata zwykle wie, że dobrze jest nadrabiać miną, skrywać swoje słabości, te słabości ukrywane szybko mogą być zrekompensowane przez właśnie nadrabianie miną, wbrew pozorom siła sugestii bywa ogromna. Natomiast alternatywą jest taki defetyzm. Oczywiście nieoficjalnie, bo nikt nie mówi że - chłopaki, wycofujemy się, zbieramy się na pozycje obronne, tylko o tym nawet się nie mówi, żeby właśnie nie

wywoływać niebezpiecznych fochów, nie wdawać się w eksperymenty, przygody, w gruncie rzeczy to postawa eskapistyczna. Ale to jest właśnie ta odwrotność zasady samospełniającej się przepowiedni. I wtedy ta metafora wyjściowa, o której Leszek mówił, samozjadanie, ona dokładnie tak się spełni. Zjadamy się, zanim nawet zaczniemy jeść. Żeby trzymać się tych ulubionych porównań Millera to my nawet nie zaczynamy. Bo my zanim z góry zaczniemy to już odrywamy kawał siebie. Właściwie celu ostatecznego nie ma, trzeba tylko tak doraźnie przystosować się, trzeba trzymać się układu sił i przystosować. To już jest taka karykatura pragmatyzmu. Zresztą z założenia nieskuteczna; pod hasłem skuteczności oddaje się tak naprawdę wszystko bez walki. Ale jest inny rodzaj pragmatyzmu, skrzyżowany już z machiavellizmem, znany z historii i to z historii bardzo różnej. Najlepszym przykładem są z jednej strony jezuici, a z drugiej bolszewicy. Czy tak może być i teraz? Przypomnijmy sobie machiavellizm i o tyle też pragmatyzm jezuitów: to co zauważymy, że większość z nich to byli fanatycy. Absolutny misjonarski fanatyzm, absolutnie przekonanie że są pewne cele, których na krok nie wolno uszczuplić, są pewne sprawy, których na krok nie można odstąpić i właśnie po to żeby nie ustąpić w imię świętych zasad, aby uszczerbku nie doznało dobro kościoła, to cnotą stają się bardzo rozmaite, bardzo przedziwne sposoby zaprzeczające zasadom. To dlatego tak bardzo jezuitom przypisywano zasadę cel uświęca

środki. Usprawiedliwiała post factum, a nawet przed faktem, a nawet rozgrzeszenie na wyrost, z góry wyniki były dobre, ale tu chodzi o coś więcej. Cel uświęca środki, bo sam cel jest święty, pozostaje świętym. A teraz cokolwiek powiedzielibyśmy o jezuitach, byli skuteczni i oni naprawdę nie gubili tego celu pragmatycznego. I gdyby ktoś miał się uczyć od kogoś, to radziłbym uczyć się od jezuitów, a nie od takich właśnie ewakujonistów, czy specjalistów od zygzaków. Ale to samo można by powiedzieć o Leninie. Nie o to chodzi dzisiaj, nie o dyktaturę proletariatu. Ale jakby wziąć pod uwagę ten pierwszy etap działalności Lenina i jego zwolenników, to było połączenie, wszyscy piszą, nawet biografowie zachodni nie sympatyzujący z Leninem, że to było ucieleśnienie ideowości sprzężone z poczuciem rzeczywistości, a więc pryncypialność, a jednocześnie faktyczna elastyczność. Ale czy to znaczy, że ktoś taki nie ulega wtedy niebezpieczeństwom? No wręcz przeciwnie. Bo co się dzieje, skoro już tak rzucamy metaforami, to rzucimy jeszcze jedną. Ktoś bardzo chce osiągnąć ten cel ostateczny, a jednocześnie doskonale wie, ma to poczucie rzeczywistości, że w danej sytuacji ów cel jest zupełnie nieosiągalny. Mamy za mało szabel, czy masy nas nie rozumieją, czy możliwość zablokowania ze strony przeciwników czy też sojuszników są zbyt duże, no trzeba mówiąc krótko rozłożyć na raty, osiągać to po kawałku i tu zaczynają się schody. Chcę podkreślić, że nie zawsze

jest to winą polityków, w tym wypadku lewicowych, bardzo często to jest po prostu koszt, jaki ponosi każdy uczestnik polityki. Chcę przypomnieć, że mamy dwa modele polityki. Tutaj właśnie przegrana lewicy w naszym kraju z tym właśnie się wiąże. Jest model polityki jako reprezentacji. O ile ktoś silnie dąży, wyraża poglądy i myśli ludzi. którzy sami wiedzą, że tego chcą, wiedzą czego chcą, potrafią nas rozliczyć, zmusić, potrafią nas zastąpić, jeśli się nie sprawdzamy - to jest model reprezentacji. On ma też swoje niebezpieczeństwa, ale powoduje jednak skłonność do odpowiedzialnego postępowania, do myślenia w kategoriach alternatyw, nieodpowiedzialny jest niekoniecznie polityk-lekkoduch, odpowiedzialny jest każdy polityk, który uważa, że nie ma alternatywy dla jego polityki. Że w danej sytuacji jest możliwe tylko jedno postępowanie. A to jest właśnie nieodpowiedzialność polityka. A więc tak to właśnie się dzieje, że zamiast tego reprezentacyjnego modelu polityk wchodzi w układy. A co to oznacza? Kramarski styl polityki. Żeby przepchnąć czy tylko wyżebrać coś, na co nas nie stać o własnych siłach, musimy zawrzeć sojusz. On musi być bardzo taktyczny, on ma być nawet kosmetyczny bardziej, niż w sferze meritum czy pragmatyki, ale on ma swoje koszty. Wchodząc w jakikolwiek związek, zaciągamy zobowiązania. Zobowiązania są obustronne. Teraz od razu trzeba powiedzieć, że na pragmatyzm, nawet taki najbardziej trywialny, można sobie pozwolić tylko

jeśli jest się silnym. Dlaczego Hitler był skuteczny, a był to pragmatyk przerażający. Dlatego, że był silniejszy. Jego diagnoza układu sił, dobrego podboju, czy jeszcze na początku wojny zanim przekształcił ją lekkomyślnie przeciwko całemu światu, była bardzo trzeźwa. On mógł sobie pozwolić na tak bezczelne, tak brutalne postępowanie, łamanie kolejnych porozumień, wiarołomstwo, tylko dlatego że wiedział, że będzie bezkarne, że jego brutalność i agresywność nie napotka na skuteczny opór. Ale pragmatyzm w wykonaniu słabszego, który usiłuje być cwany, bo nie może być silny, to jest najlepsza droga do samobójstwa. I właśnie tutaj wcześniej zapowiedziana metafora. Otóż ktoś taki, zbyt słaby żeby postawić na swoim, na tyle jeszcze mocny, że jeszcze się nie rozsypał całkiem, że trzeba się z nim liczyć, coś może sprzedać, zaczyna wchodzić w te transakcje dzierżawy, wynajmu albo kupna i sprzedaży. I zachowuje się trochę tak, jak obywatel który jest w kłopotach, idzie do lombardu, w lombardzie zastawia swoje ulubione radio, gramofon, swoją kolekcję płyt. którą pracowicie zbierał przez całe życie, głaszcze te płyty, nie płacicie, zaraz was wykupię. Czy podobnie mąż, który niestety ma nałóg hazardowy, do tego stopnia się zapędził, że nawet żonę postawił, żona jest zastawiona, a on do niej mówi: „nie martw się Zośka, zaraz się odegram i cię wykupię”. To jest niestety nierealistyczne. Niewielu znamy klientów lombardu, żeby byli w stanie wykupić to, co

zastawili. A lombard, przypomnę, ma taką brzydka cechę, że mu za psie pieniądze oddajemy coś pełnowartościowego. Bardzo często to są rzeczy, które może nie mają własności użytkowej, handlowej, ale dla nas mają absolutnie bezcenną, niepowtarzalną. Tak jak babci nie da się zostawić w lombardzie, a potem wykupić innej jako ekwiwalentu, tak to samo dotyczy portretu babci, prawda, wszystko jedno, jakichś skarbów rodowych i czegoś tam jeszcze. Ale tak samo jest ze sztandarami. Po pierwsze: to, co oddaliśmy, chociażby tylko na chwilę, w depozyt, już nie będzie takie samo, już nie ma takiego waloru i my nie jesteśmy wiarygodni. Nawet jeśli ten hazardzista naprawdę by Zośkę wykupił, po trzech jeszcze dogrywkach, to jego wiarygodność jako męża czy kochanka jest żadna. Pierwsze, co ona zrobi, to pewnie go pożegna i to zupełnie bezinteresownie. Ale jeszcze - po drugie - zauważmy ten kontrast. Oddaje do lombardu coś cennego poniżej ceny. W gruncie rzeczy to ja dokładam do tego swojego rzekomego zarobku, a tak właśnie bywa z wieloma sojuszami, koalicjami, nawet doraźnymi czy rozsądnymi z punktu widzenia konieczności. Ale robi się takie ustępstwa, niekoniecznie mając świadomość, że to jest już po prostu przecena. Plus niestety ta nieodwracalność. Konkordat był tutaj najlepszym przykładem. Oczywiście ja sam doskonale rozumiem takie racje, że przepychanie kolanem niejako wejścia do Unii z pomocą Kościoła ustępstw wymagało, czy aż takich żeby

konkordat przyjąć w kształcie zupełnie nieodmiennym, jednostronnie korzystnym dla kościoła, tu już miałbym wątpliwości. Ale nawet gdybym uznał, że nic się nie dało zrobić, to nie mam wątpliwości, że po tym, jak konkordat przyjęto, po tym jak zawieszenie krzyża w sejmie przeszło gładko, jakakolwiek próba odkręcenia to w stronę przeciwną jest ani wiarygodna, ani skuteczna, po prostu. I to są właśnie te koszty pragmatyzmu czy machiavellizmu, jak najbardziej służebnego, ideowego podyktowane nawet jakąś pryncypialnością. Tylko właśnie tutaj widzimy rozdzielenie, bo jesteśmy pryncypialni w tym sensie, że wierzymy w jakieś wartości, cele ostateczne i nie jesteśmy pryncypialni dobierając środki. Wydaje nam się, że osiągnięcie ostatecznego celu kiedyś ten problem skasuje. No ale my nie mamy takiej gwarancji, żebyśmy z góry wiedzieli, że ten cel osiągniemy i nie obudzimy się z ręką w nocniku. A ponadto najbardziej niebezpieczne w myśleniu polityka lewicowego akurat, a poza lewicą bym w ogóle powiedział, że u polityka demokratycznego to jest takie myślenie, że to ja będę określał, ile ze wspólnego depozytu mogę wyprzedać i za ile. Bo pamiętajmy o tym, że kompromisy taktyczne zawierane przez liderów, te wszystkie roszady personalne, kogo dopuścimy, kogo nie, wyniki referendum za tym czy za tamtym, zawierane zawsze są ponad głowami mas, nawet ponad głowami szeregowych członków partii. Takich rzeczy nie robi się w trybie plebiscytarnym,

referendalnym i tak dalej. Nie zawsze zresztą byłoby to rozsądne, jeśli byłoby to możliwe. Ale coś za coś. Jeżeli arbitralnie przesądzamy o działaniach, które mogą oznaczać pożegnanie z wartościami, czy w każdym razie ubytek własnego kapitału, no to co nas może powstrzymać? Nic. Kto potem będzie z nami odkopywał to, cośmy zakopali? Czy podlewał. co zaniedbaliśmy? Te kwiatki już nie odrosną. Tyle w mojej sprawie. Jak państwo widzicie to rzeczywiście pozornie tylko abstrakcje.

Agnieszka Pawelska: Wracając do tematu, rzeczywiście nie zgodziłam się z tezą postawioną przez Józefa Oleksego i chciałabym państwa przekonać do tego, że program był niekiedy atutem SLD, mimo tego, że czytając programy lewicy parlamentarnej, często zarzuca się im miernotę właśnie; były to programy wydawane na przestrzeni dwudziestu lat, programy pod którymi podpisałyby się zachodnioeuropejskie partie socjaldemokratyczne. Z wieloma zastrzeżeniami, ale o tych zastrzeżeniach za chwilę powiem. Mówiąc o programie mam tu na myśli takie techniczne, wąskie rozumienie programu, ponieważ ja analizowałam jedynie dokument programowy wydawany przez tę partię, czyli pytałam, jak ona sama siebie definiowała. I wyróżniłam takie dwa zasadnicze wymiary: najpierw wymiar aksjologiczny. Na tym wymiarze aksjologicznym nie chciałabym się za bardzo koncentrować, ponieważ

on jest moim zdaniem za bardzo fetyszyzowany w warunkach polskich, w warunkach polskiego systemu parlamentarnego i wychodzą z tego takie kwiatki, że ruch Janusza Palikota określa się mianem lewicowego. Więc to chciałabym zostawić na potem. Niemniej jednak teraz powiem kilka słów. Chciałabym wyjść od zakorzenienia ideologicznego, zarówno SDRP jak i SLD. O tym to już zupełnie z grubsza. Chciałam tylko wspomnieć, że w tym wymiarze SDRP było bardziej wyraziste niż SLD; nazwa partii Socjaldemokracja mówi sama za siebie, natomiast SLD konsekwentnie w programach używało hasła lewica, używając przymiotników takich jak socjalistyczny i socjaldemokratyczny tylko i wyłącznie na określenie komponentów składowych koalicji, nie odwołując się do ideologii; co było podejrzane - w pewnym czasie SLD zaczęło się określać mianem partii socjaldemokratycznej, natomiast trzeba pamiętać, że to była socjaldemokracja w rozumieniu tej blairowskiej, trzeciej drogi. Tej nowej socjaldemokracji, nie tej tradycyjnej. To słowo wydawało się jakby działaczom odczarowane i dlatego zaczęto go używać. Powrót do takich korzeni można powiedzieć, taki powrót do tej starej socjaldemokracji jest obserwowany w roku 2005 i od roku 2005 rzeczywiście w tych programach SLD usiłuje nawiązać do socjalnej tradycji terminu socjaldemokracja.

I To jest kwestia, w której SLD najbardziej rozminął się z postanowieniami programowymi, z kwestią swoich programów. Zawsze, w każdym programie znajdziemy sformułowanie, że koniecznie jest zapanowanie świeckiego charakteru państwa i oddzielenie państwa od kościoła. Natomiast teza, że kościołowi katolickiemu nigdy nie było tak dobrze, jak za rządów SLD, z nikąd się nie wzięła. To też wiele razy było analizowane i nie chciałabym się na tym skupiać, bo jest dużo ważniejszych aspektów. I ocena przeszłości, to kolejny aspekt w wymiarze aksjologicznym; ja poruszyłam ten aspekt, że wielu badaczy podkreśla, że właśnie ten aspekt kształtował przez wiele lat podziały na polskiej scenie politycznej i to on właśnie określał ten wymiar podziału na prawicę i lewicę w Polsce. SLD początkowo przemilcza okres czterdziestu pięciu lat Polski Ludowej, natomiast prawa strona sceny politycznej nie pozwoliła zapomnieć SLD o swojej przeszłości i SLD rzeczywiście w programach zaczyna o tym mówić na początku lat '90. Natomiast przyjmuje postawę defensywną. Cały czas tłumacząc się ze swojej przyszłości, wpisując się w tą konwencję, że SLD wolno mniej i tutaj chciałabym zaznaczyć, że dopiero w ostatnim programie z roku 2011 SLD otwarcie przyznaje, że nie da się wtłoczyć w te ramy i nie da sobie narzucać, że tej partii wolno mniej. Bo istnienie tej partii legitymizują tak naprawdę wyborcy, a nie inne elity. Natomiast tą formułę, jaką SLD przyjmuje nazywa się niekiedy

formułą gorzkiego żalu. SLD do roku 2005 cały czas tłumaczy się ze swojej przeszłości i w 2005 roku obserwowana jest ta zmiana, nazwałabym to takim podniesieniem głowy. Sojusz mówi, że rzeczywiście wywodzimy się z tego systemu, krytykujemy to co było złe, ale chwalimy to, co było dobre. Cały czas podkreślam - to co się dzieje na tej warstwie programowej. Chciałabym się jednak skupić na tym wymiarze społeczno-ekonomicznym, ponieważ wydaje mi się on kluczowy z punktu widzenia podziałów na osi lewica-prawica, w ugruntowanych socjaldemokracjach i to on przesadza o faktycznym charakterze partii. I tutaj bardzo ważny jest stosunek do systemu ekonomicznego. Ocena zmian po roku '89 i prezentowana własna wizja systemu ekonomicznego, jaki SLD chce w Polsce zbudować, no i problem polskiej sceny politycznej i w ogóle sceny Europy środkowo-wschodniej polega na tym, że SLD po roku '89 budowało w Polsce system w opozycji do którego partie socjaldemokratyczne powstawały. I to jednak przesadziło o charakterze tej partii. Tradycyjne partie socjaldemokratyczne, to doskonale wiemy, w wieku XIX powstawały na gruncie sprzeciwu wobec systemu kapitalistycznego, a SLD ten system legitymizowało swoim istnieniem i właśnie w roku '91 w programie SDRP znajdziemy takie stwierdzenie, że partia ta ponosi odpowiedzialność za kierunek i efekt reform. Także SLD nie kwestionowało konieczności wprowadzenia takiego, czy innego systemu w Polsce.

Natomiast kwestionowało szybkość wprowadzanych zmian. Jeśli chodzi o własną wizję SLD tutaj było też zachowawcze, zarówno SLD jak i SDRP. Był taki pomysł wpisania do deklaracji założycielskiej SDRP sformułowania, że partia ta walczy o demokratyczny socjalizm, natomiast nigdy takie sformułowanie nie padło. Sformułowanie to w programach pada jedynie w odniesieniu do kresu PRL, natomiast jaki system SLD chciało budować? Cały czas społeczną gospodarkę rynkową, tak naprawdę nie definiując tego pojęcia i nie precyzując, co ma na myśli. W '97 roku padło nawet takie stwierdzenie w programie, że SDRP walczy o eko-społeczną gospodarkę rynkową, natomiast w tym samym programie SDRP opowiada się za ograniczeniem ingerencji państwa w gospodarkę, podkreślam, że to jest rok '97 więc nie wiem co SDRP uznaje za punkt wyjścia do ograniczania rzeczywiście ingerencji państwa. Zaniżanie podatków, po zaspokojeniu najbardziej palących kwestii społecznych? Czyli to jest państwo minimum socjalnego, a nie dobrobytu i jakiegokolwiek bezpieczeństwa społecznego. I już w manifeście programowym SLD w '99 roku akceptuje się w pełnej rozciągłości istniejący system i mówi się o tym, że dokonująca się w naszym kraju ustrojowa transformacja jest w zasadniczym stopniu dokonana. Polska została przekształcona z nieefektywnej, niezrównoważonej i stagnacyjnej gospodarki nakazowej, słabo powiązanej z istniejącym rynkiem, w dynamiczną i otwartą gospodarkę rynkową. I ta zasadnicza

pozytywna zmiana, jak się ją nazywa. jest wynikiem rządzenia kolejnych ekip, jak i rozwoju przedsiębiorczości i rozwoju sektora prywatnego. Mimo tego, że dalej wspomina się o ogromnym rozwarstwieniu społecznym, to jednak nie da się ukryć, że jest to program skierowany przede wszystkim do przedsiębiorców. Na przykład postuluje się możliwość zatrudniania pracowników w oparciu o umowy na czas określony, zniesienie w małych firmach regulaminu pracy, czy elastyczność czasu pracy. Dlaczego to nie kwestionuje tezy, że pod programami podpisałyby się zachodnioeuropejskie partie socjaldemokratyczne? Dlatego, że wszystkie partie, większość partii socjaldemokratycznych jednak była zafascynowana tymi ideami trzecidrogowymi i nastawiła się na małych i średnich przedsiębiorców, a nie na ludzi pracy najemnej. To pozwala ten program określić jako lewicowy w dużym cudzysłowie, w tym rozumieniu trzecidrogowym. Na boku zostaje praktyka rządzenia w latach 2001-2005, neoliberalne reformy rządu SLD, ze sztandarowym postulatem podatku liniowego, to pozostawiam na boku, bo to nigdy nie znalazło się w programach SLD. Tylko dlatego, że SLD nie wydało żadnego dokumentu programowego, możemy powiedzieć że była to partia lewicowa, bo w praktyce rządzenia, tej partii nie możemy tak określić, w moim przekonaniu. Lecz od roku 2005 rzeczywiście otwarcie krytykuje się kapitalizm. Używa się terminu „neoliberalne zmiany po roku '89”. Natomiast wizja systemu to dalej społeczna

gospodarka rynkowa. I z tym wiąże się ściśle odpowiedź na pytanie, kogo reprezentowało na przestrzeni lat SLD i SDRP. Przynajmniej na podstawie deklaracji w tych programach. Początkowo mówiło się dużo o ludziach pracy. Znalazło się nawet takie stwierdzenie, że SDRP powstało z woli obrony interesów ludzi pracy. Jak powstało SDRP to wszyscy wiemy i na pewno nie powstało z woli ludzi pracy. W roku '97 mówi się już o najszerszych warstwach społeczeństwa, a w roku '97 w odpowiedzi na pytanie „kogo reprezentujemy?” SLD odpowiada, że lewica powinna sprostać oczekiwaniom możliwie największej części społeczeństwa. Więc tutaj ten dryf od partii ludzi pracy do partii typu catch-all, czyli nastawionej dla całego społeczeństwa, bez żadnej selekcji jest wyraźnie obserwowany. I znowu w roku 2005 ten powrót taki programowy, bo ja już abstrahuję od tego, co się faktycznie działo, jest obserwowalny, ponieważ tutaj czytamy, że SLD służy uboższej części społeczeństwa, że walczy z biedą i wykluczeniem, że praca musi stać przed kapitałem i że partia będzie bronić interesów ludzi pracy. I w każdym z tych aspektów widoczna jest taka sinusoida. Bardzo przyzwoite programy socjaldemokratyczne, z początku lat '90, odchodzą na rzecz zafascynowania trzecią drogą, nastawieniem na przedsiębiorców. Powrót do korzeni obserwowany jest w roku 2005, natomiast problem mamy w roku 2007. W roku 2007 została współtworzona przez pana redaktora konstytucja SLD,

która wyznaczać miała kierunek tejże partii, została ona jakby zignorowana przy dalszych programach. Tu trzeba powiedzieć, że nie odegrała takiej roli, jaką odegrać miała. Natomiast to jest też rok koalicji Lewica i Demokraci, programy, dokumenty programowe tejże koalicji są raczej pomarańczowe, niż czerwone, mimo że ten komponent lewicowy znacznie tam przeważał, jeśli chodzi o sprawy organizacyjne. Chciałabym jeszcze odnieść się do obecnego programu SLD, do programu z roku 2011. Już abstrahując od paktu z BCC Gospodarka dla Człowieka, bo to osobiście uznaję za chichot historii, że SLD taki pakt podpisało, chciałabym się odnieść tylko do dokumentu „Jutro bez obaw”. Rzeczywiście to jest taki dokument trochę bezprecedensowy na polskiej scenie politycznej, dwieście trzydzieści stron programu. Może nie jest to dokument wizjonerski, ale na pewno kompleksowe opracowanie, zdefiniowanie problemów, kilka dobrych diagnoz, wiele pomysłów. Natomiast co zaskakuje? Zaskakuje bardzo hierarchia przedstawionych problemów. Rzeczywiście Polacy obawiają się o jutro, ale obawiają się czy będzie ich stać na zapłacenie rachunków, czy jutro nie zostaną rzeczywiście zwolnieni, czy będą mieli rentę, emeryturę. Natomiast jak na to pytanie, czego boją się Polacy, odpowiada SLD? W pierwszym rozdziale, który zatytułowany jest „Państwo” czytamy, że poczucie bezpieczeństwa pozostaje dalekie od oczekiwań. Rzeczywiście, ale dlaczego? Większość z

nas obawia się pijanych kierowców, piratów drogowych, kradzieży i włamań, zaczepek chuligańskich i napadów. Opinia publiczna manipulowana jest przez publikowanie optymistycznych analiz statystycznych. No pod tym mógłby podpisać się Jarosław Kaczyński, szczególnie w ostatnim czasie, a nie partia socjaldemokratyczna w czasach kryzysu. Tutaj hierarchia została pomyłona. Pierwszych osiemdziesiąt stron tego programu poświęconych jest kwestiom administracji, wszechobecnej represyjnej policji, armii, sądownictwa, jest duży nacisk na bezpieczeństwo fizyczne. Kolejny rozdział to rzeczywiście rozdział „Społeczeństwo”. Ten rozdział trzeba pochwalić i nie będziemy tutaj analizować wszystkich pomysłów, natomiast to jest wartościowy program socjaldemokratyczny, choć zdarzały się niespójności, oprócz tych kwestii o których pan doktor wspomniał. Również w kwestii odchodzenia od uniwersalności świadczeń. Lewica europejska już dawno porzuciła taki punkt widzenia. Selektywność nie tylko kosztuje, ale też stygmatyzuje i to nie jest lewicowy punkt widzenia, natomiast chciałabym podkreślić, że to jest dobry program, tylko trochę bez refleksji czym są realne problemy Polaków i czego rzeczywiście Polacy się boją w czasach kryzysów, bo chyba nie pijanych kierowców i piratów drogowych. I mam nadzieję, że chociaż trochę udało mi się państwa przekonać, że to nie program był problemem, z kilkoma zastrzeżeniami propozycja programowa SLD była wartościowa i

atrakcyjna i chciałabym dodać, że Janusz Palikot nie wymyślił niczego, czego w swoich programach nie uwzględniłoby na przestrzeni tych dwudziestu lat SLD. Chodzi mi o ten składnik, który nazywa się składnikiem lewicowym, bo na szczęście SLD nie wpisało do swojego programu podatku linowego, co zrobił Janusz Palikot i tutaj trzeba się tylko zastanowić nad wartością programu, bo te dwieście trzydzieści stron programu SLD przegrało z ośmioma stronami manifestu Janusza Palikota. Mam takie wrażenie, że programy straciły na wartości i pointą jest chyba to, że z czternastu konkretnych zapowiedzi reform z expose Tuska tylko cztery znalazły się w programie Platformy Obywatelskiej. Więc postawiłabym taką pointę, że to nie programy są problemem, ale też nie programy pozwalają wygrywać w wyborach w Polsce.